

W latach młodości naszych prababek grał w Poznaniu po raz pierwszy mistrz Ludwik Solski

Liczna jest rzesza wybitnych aktorów polskich, którzy, od czasów Bogusławskiego, głosili piękno mowy polskiej ze sceny. Żaden z nich jednak nie został tak uczczony przez społeczeństwo jak LUDWIK SOLSKI. Nastąpiło to nie tylko dlatego, że Solski ma poza sobą jedyną w historii teatru światowego karierę aktorską, lecz wpływa przede wszystkim z faktu, że inne nastąpiły czasy w Polsce, że inna jest dziś pozycja społeczna teatru i jego ludzi.

Wędrowki aktorskie

Nie tak „in illo tempore” bywało, kiedy Solski rozpoczynał karierę aktorską. Nie było tak również w Poznaniu, gdzie m. in. służył Melpomenie, gdyż — jak napisano ostatnio z okazji jego wyjątkowego jubileuszu — „mapa wędrowek aktorskich Solskiego pokrywa się z mapą teatralną Polski. Słowem, Solski doświadczył na sobie

Napisał: F. MIEDZIŃSKI

nie zbytki, prowadzące do ruiny, nie są na porządku dziennym, w takim razie, zmuszani byliśmy podać szereg faktów i to najświeższych daty...”

W tymże czasie podjęto nową, wielką kampanię na rzecz pomocy dla teatru. Zebranie 50 tys. marek uważano za wielki sukces i słusznie, jeśli się uwzględni, że ofiar większych nie było i datki, na ogół małe, pochodziły od warstw średnich i ludowych z „zabitej deskami prowincji”, które w większości wypadków nie miały nawet możliwości widzieć polskich aktorów. Notowano wprost wzruszające objawy tej ofiarności, jak np. półtoramarkowy datk od kilku parobków i służących, przesyłany z następującym dopiskiem:

„By służące, parobczaki,
Poświęćmy swe trojaki,
Bo trojaczek nie zuboży,
A do dzieła się przyłoży.”

Sknerstwo klasy ziemiańskiej wobec sceny polskiej miało zachętę w stanowisku wielce wpływowym kół, które Halina Kowalenko w swej pracy na temat Teatru Polskiego w Poznaniu³⁾ niesłusznie określiła jako „konserwatywny obóz narodowo-klerykalny”. Była to hierarchia kościelna, do której polityki przymiotnik „narodowy” nie odnosił się od chwili objęcia rządów przez prymasa Ledóchowskiego. Nie tu jednak miejsce na szersze omówienie tej polityki watykańsko-kosmopolitycznej, która właśnie w tym czasie, po latach drogi opłaconych przez Wielkopolskę politycznych dyplomatycznych, montowała zgodę z rządem Bismarcka...

Obraz moralności

W imię tej polityki zwalczano wszelkie wystąpienia narodowe, a więc również tworzenie i istnienie Teatru Polskiego. Chwyty stosowano różne, a najchętniej wysuwano pełen hipokryzji zarzut o „niemoralności teatru”. Jeden z ultraklerykalnych organów miejscowych⁴⁾ głosił np. pod adresem aktorów:

„Waszymi to są grzechami wszelkie te niezliczone winy w każdej z niezliczonych osób, co przychodzą Was widzieć i słyszeć, drżących rozkoszą pod grzesznymi wrażeniami, które rozżarzenie i które wynoszą po skończonych przedstawieniach, aby je w gorsze jeszcze grzechy czynu zamienić.”

Atakowano teatr za każdy powiew z sceny wolniejszej myśli, np. za wystawienie, na krótko przed przybyciem Solskiego, sztuki Beaumarchais „Wesele Figara”. Atak na jej rewolucyjną treść pokryto również zarzutem rzekomej „niemoralności”, zgodnie z tym, co już dawno przedtem stwierdzał Balzac, że za każdym razem, kiedy obraz jest prawdziwy, „rzuci się Wam w twarz słowo niemoralność”. Dla sfer „dobrze asymilowanych”, czyli „dobrze myślących”, aktor był po prostu uosobieniem „zła”...

Parobczaki

i sknerstwo bogaczy

O ile bowiem w samym mieście naprawdę bogatych Polaków nie było jeszcze wielu w Wielkopolsce nie było ich brak. Samych wielkich rodów ziemiańskich było około 500, skubających w swych rękach ponad 650 tys. ha ziemi, a znajdowali się między nimi tacy bogacze, jak zmarły w r. 1830 hr. Potulicki, pozostawiając majątku 20 milionów marek (czyli 5 mln. dolarów ówczesnej wartości)! — Klasa ta miała „szeroki gest”, ale nie na cele narodowe, o czym pisał poznawczy Gniewosz w lwowskim „Sztandarze”.

„Gdyby ktoś chciał zaprzeczyć, że kosztowne pijatyki w orgie przechodzące, uczyły i in-



Strój elegancki z okresu pobytu mistrza Solskiego w Poznaniu w 1833 r.

jednostką o społecznie małej wartości.

Metamorfozy mistrza Solskiego

W takiej sytuacji przybył jesienią 1882 r. do Poznania młody Solski wówczas jeszcze występujący pod swym rodzimym nazwiskiem Ludwik Sosnowski. Liczył wtedy 27 lat, a z recenzji dowiadujemy się, że był „znaną, gdyż jest w nich mowa o „państwie Sosnowskich”. Po 7 latach pracy na scenie terminatorem, oczywiście już nie był, ale do gwiazd też się jeszcze nie zaliczał. Był po prostu jednym z „towarzystwa dramatycznego”, jak wówczas nazywano zespół teatralny.

W kilku tygodniach Solski dokonał niezwykłej sztuki — „przekształcił” się w śpiewaka. Na pierwszym, inauguracyjnym przedstawieniu sezonu, (Ciąg dalszy na str. 2)

NAJLEPSZE ŻYCZENIA
ŚWIĄTECZNE
WSZYSTKIM CZYTELNIKOM
SKŁADA
REDAKCJA

Gdy w Poznaniu gospodarowała endecja⁽⁴⁾

O prawo do dachu nad głową

Mówiliśmy już, że w latach trzydziestych syci rajcy miejscy zendecejałej burżuazji wykonywali sobie teoryjkę nieco osobiwą. Miała ona tłumaczyć przyczynę niezrozumienia faktu, że „solidna, oparta na trwałych podstawach, pozbawiona warszawskich kantów” — poznańska gospodarka dopuściła do klęski bezrobocia. Kozła ofiarnego szukano i w PEWUCE, i w rządzie sanacyjnym, i w „elementach napływowych” — nigdy w sprzecznościach ustroju kapitalistycznego.

Dywizja bezrobotnych — czyli co szósty człowiek

Rzekomo ludzie przybywający z zewnątrz tworzyli ową rzeszę bezrobotnych, wystającą tłumami przed bramami fabryk i biurami pośrednictwa pracy. W samym Poznaniu było ich 15 000. Gdy dodamy do tego rodziny, wypadnie nam, że w latach kryzysowej nędzy co najmniej 18 proc. ogółu ludności znajdowało się bez stałych środków do życia, z perspektywą utraty dachu nad głową.

W latach powstawowych, w protokółarzu miejskiej rady narodowej coraz częściej czytać można krótkie notatki sekretarza:

„Odczytano petycję lokatorów bloków magistrackich na Górze nie w sprawie obniżki czynszu... W odpowiedzi pan radca (tu następowało nazwisko obecnego na posiedzeniu członka magistratu) stwierdził, że zarząd miejski sprawę rozpatruje...”

Trzeba powiedzieć, że „rozpatrywanie” trwało strasznie długo. Przez dwa lata ponawiały się skargi poszczególnych mieszkańców oraz dyskusje nad sprawami osiedli dla ludzi bezdomnych, których kamienicznicy eksmitowali za nieopłacenie czynszu. W końcu magistrat obniżył czynsz w swoich blokach nie uchwalając, a zaległości ściągając z „całą surowością prawa”.

Wielkopolskie echa kościuszkowskiej insurekcji

Dr Jan Wasicki

adiunkt U. P.

Pierwsze narodowe powstanie znane w historii pod nazwą „Insurekcji kościuszkowskiej” rozszerzyło się w krótkim czasie na ziemie polskie. Pod koniec marca 1794 roku Kościuszko przysięgał na rynku krakowskim — 17 kwietnia lud Warszawy wyzwolił stolicę. Miało to powstanie głęboko społeczny charakter. Naczelnik Kościuszko chciał uczynić lud polski wyzwolicielem Ojczyzny.

Na pierwszy plan w insurekcji wysunęła się więc sprawa chłopstwa.

PROBA REFORMY

Zmianę w położeniu chłopów miał zapewnić wydany 7 maja uniwersał w obozie pod Połanowem. Ogłaszając zniesienie poddaństwa osobistego zwalniał chłopów wstępujących do wojska od ciężarów pańszczyźnianych, przewidywał rozciągnięcie kontroli państwa nad instytucją poddaństwa oraz ogólne zmniejszenie pańszczyzny. Ostateczne uregulowanie sprawy chłopskiej odłożono do przyszłego sejmiku, który miał być zwołany po oswojeniu kraju. Uniwersał połański nie przyniósł uwłaszczenia chłopów, jednak w porównaniu ze stosunkami panującymi do tego czasu postawienie jego, chociaż kompromisowe, stanowiło krok naprzód w kwestii chłopskiej.

W swym założeniu uniwersał miał być aktem rewolucyjnym, miał poruszyć masy chłopie, wyzwalać je z uciśku feudalnego. Roli tej jednak nie odegrał. Przeważająca część szlachty i duchowieństwa, nawet tych kompromisowych reform nie chciała wprowadzić w życie.

„DUCH DEMOKRATYZMU FRANCUSKIEGO”

Powstanie jakie wybuchło w marcu 1794 r. w Krakowie wbrew pierwotnym zamiarom jego przywódców nie od razu objęło Wielkopolskę, mimo że sytuacja ku temu była dogodna. Prusy zajęte wojną z rewolucyjną Francją, pozostawiły w Wielkopolsce jedynie niewielkie oddziały wojskowe. Na Śląsku doszło do krwawych rozruchów chłopskich i czeładzi miejskiej, a w samej Wielkopolsce, zaraz po jej zajęciu przez Prusy w 1793 r., chłopcy występowali przeciwko szlachcie, odmawiając pełnienia dotychczasowych powinności. W miastach, według raportów pruskich, szerzył się „duch demokratyzmu francuskiego”. Sytuacja ta stanowiła groźne niebezpieczeństwo dla absolutnej monarchii pruskiej jeszcze z tych względów,



rys. F. Smietowski



Tadeusz Kościuszko

że hasła płynące z rewolucyjnej Francji znajdowały żywy odzew wśród chłopów i plebsu miejskiego, głównie na Śląsku. Przebiegła gra dyplomacji pruskiej, zmierzającej do stworzenia pozorów neutralności, miała na oku uzyskanie na czasie celem przygotowania się do zbrojnego stłumienia, wraz z wojskami carowej, powstania i zapobieżenia jego rozszerzania się na prowincje pruskie.

W tym też celu starano się użyć wpływu duchowieństwa. Miało ono, jak o tym świadczy list okólny biskupa poznańskiego Raczyńskiego z 2 kwietnia 1794 r.:

„...poruczone swojemu staraniu owieczki tak w naukach swoich, jako i posiedzeniach i prywatnym obejściu, do należytego rządowi posłuszeństwa, do powinnej i zupełnej spokojności starali się zagrzewać, prowadzić i napominać...”

NIEDOŁĘSTWO SZLACHECKICH DOWÓDCÓW

W czerwcu, gdy wojska pruskie przeszły do akcji ofensywnej przeciwko insurekcji, wydana została odezwa „do obywateli prowincji Wielkopolskiej” z wezwaniem do powstania. Dopiero jednak w sierpniu, gdy wojska pruskie oblażyły Warszawę, rozwinąć się zaczęła coraz żywsza akcja powstańcza. Do pierwszych potyczek doszło pod Brześciem Kuj. i we Włocławku, gdzie zatopiono transport amunicji przeznaczony dla wojsk pruskich oblażających Warszawę. Powstanie województwa poznańskiego zjechało się w Kościelnie, a następnie w Rabinie zaprzysiężono akt insurekcji.

W powiecie leszczyńskim, we wsi Morkowo, zgromadziły się siły powstańcze w sile 2 tysiące kosynierów i 200 kawalerii rozbite zresztą wkrótce przez Prusaków wskutek niedoświadczenia i gnuśności dowódców. Opanowane zostało przez powstańców Gniezno, z którego wycofano się jednak przed nadchodzącymi Prusakami. W Gnieźnie bronił się oddział chłopów-kosynierów na posterunku przy klasztorze franciszkańskim, gdy dowódcy wyprowadzili już wojska z miasta. Powstańcy zajęli przełęcz Sieradz; ruch zbrojny rozwijał się w pow. kępińskim i wieluńskim. Nie mogli jednak powstańcy opanować miast wielkopolskich, w których stały silne załogi pruskie.

ODEZWA DO „BRACI PRUSAKÓW”

Akcja powstańcza przybrała na sile, gdy na pomoc Wielkopolsce wysłane zostały przez Kościuszkę oddziały wojskowe pod dowództwem Jana Henryka Dąbrowskiego, które zajęły Bydgoszcz, Gniezno, wysyłając podjazdy niepokojące Prusaków w Poznaniu. Wybuch powstania w Wielkopolsce i obawa przed jego rozszerzeniem były powodem odstąpienia wojsk pruskich od oblężenia Warszawy. Powstańcy zamierzali wysłać odezwę nawiązującą ludność do walki przeciwko państwu pruskiemu do nadgranicznych miasteczek śląskich, takich jak: Międzybórz, Bogudziec, Buczyna, Wołczyn, Oleśnica, Boraliny, Namysłów, Syców. Odezwy te jednak wskutek zdrady dostały się w ręce landrata sycowskiego.

Revolucyjne skrzydło powstania, tzw. „jakobini polscy” popierali zamiar rozszerzenia walki na terytorium Śląska, gdzie był podatny ku temu grunt. Kolportowana na terenie Pomorza, Poznańskie, a zapewne i Śląska odezwa mówiła:

„...Kochani Prusacy! Jesteście bliźni, jesteście nam bracia. Strząśnijcie raz z siebie ciężką a was hańbią-

(Ciąg dalszy na str. 3)

zysku wyrzuci ich na bruk, poza bramę fabryczną, na poniewierkę, nędzę, głód. To jest oskarżenie ustroju, to jest...”

Dzwonił prezesa Hedingera

Endecy i chadecy zaczęli tupać nogami. Wznosili okrzyki: „Precz z komunistami! Odebrać mu głos!” Prezes Hedinger zadzwonił: raz, drugi.

— Odbieram radnemu głos. Ale radny „Jedności Robotniczej” odczytał oświadczenie do końca. Galeria biła oklaski, póki sprowadzeni policjanci nie opróżnili sali z osób nie należących do rady.

Na następnym posiedzeniu, gdy mówcę robotniczego za to wystąpienie aresztowano przy wejściu do sali Rady Miejskiej endecy zajęli się uchwalaniem nowego regulaminu obrad pod wyraźnym faszystowskim auspicjami. Referował sprawę dr Krzyżankiewicz. Najważniejszy ustęp przytaczamy:

„...Gdyby mimo odebrania mówcy głosu tenże nadal nie mówił się do zarządzenia przewodniczącego, Rada Miejska ma prawo uchwalić nałożenie na niego grzywny do 15 zł, a gdyby mówca do ponownego zarządzenia przewodniczącego znowu się nie zastosował, Rada Miejska ma prawo wykluczyć go z posiedzenia lub z posiedzeń na pewien okres czasu, a nawet na cały okres kadencji...”

Cel tej antydemokratycznej propozycji zmierzał do stłumienia wszelkiego prawdziwego głosu mas robotniczych. Projekt uchwały nosił jawnie faszystowski charakter. Endeka większość chciała stanąć ponad społeczeństwem: próbowała uzurpować sobie prawo wykluczania niewygodnych klasowo i politycznie radnych. Uchwała ta jednak nie uzyskała potrzebnej większości i ostatni jej ustęp został po burzliwej dyskusji skreślony.

JANUSZ LIKOWSKI

Byłem w koreańskiej Warszawie

Oczy na Lublin!

(Od specjalnego wysłannika)



Dziewczęta koreańskie biorą czynny udział w odgruzowaniu zniszczonego miasta. — Na zdjęciu: usuwanie ruin z placu centralnego w Phenianie.

Od kwietnia do kwietnia — w sumie ponad 11 miesięcy pobytu, 20 tysięcy kilometrów przebytych samolotem, pociągami, samochodem, pieszo — jak się dało, jak wypadło. Dodajmy do tego kilkanaście zapisanych gestów, tysiąc metrów nagrań, tysiąc filmów, tysiąc zdjęć, tysiąc spotkań i rozmów — a będziemy mieli ujęty w telegraficznym skrócie cały bilans pisarza i poety Andrzeja Brauna z podróży po Korei.

— Kiedy przyjechałem do Korei dokładnie nie wiem przed jakim — opowiada Braun — trwały tam jeszcze w całej pełni działania wojenne. Gdy wyjeżdżałem, byłem już świadkiem pierwszych, wielkich zwycięstw w odbudowie zniszczonego kraju. Miałem więc niecodzienną możliwość ujrzenia Korei i ludzi koreańskich zarówno w walce, jak i w odbudowie.

Co tam uderza dziś najbardziej każdego przybysza — to ruch. Mrówczy ruch. Niesłychanie ofiarna i wytężona praca przy dźwiganiu zniszczonej ojczyzny z ruin. Nie będzie tu przesady, gdy powiem, że dziś Korea Północna wyszła spod ziemi, gdzie musiała istnieć i walczyć w latach barbarzyńskiego najeźdu Amerykanów. Trzeba było widzieć, jak tuż po ogłoszeniu rozejmu — z gór, lasów, ze skalnych rozpadlin, grot i innych kryjówek — wychodziły całe procesje ludzi. Kobiety w białych powiewnych szatach, dzieci trzymające się cierpliwie pleców matki, taszczące nado jeszcze jakieś tobołki i zawiązki, w których kryły się smutne resztki dawnego dobytku.

Jak w Warszawie

Te procesje ciągnęły na miejsca, gdzie były dawne domy, zabudowania. Siadały na resztkach glinianych gruzów. Odpoczywały chwilę — i z miejsca zaczynała się robota. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe domy... Nie, nie myślcie, że były to wielkie i nowoczesne budynki. Skądżeby tak zaraz? Ot, po prostu — prowizoryczne szalasy, czy też ziemianki — byle tylko zdobyć na razie jakiś dach nad głową, a zarazem bazę do dalszej pracy przy budowie nowych, lepszych, prawdziwych domów. Tuż po rozejmie — opowiada dalej Braun — wsiadłem w samochód i w towarzystwie koreańskich przyjaciół zjechałem całą Koreę Północną wzdłuż i wszerz. Od miejsc najbardziej na północ wysuniętych, aż po Panmudżon i Kesong, oglądałem miasta, z których pozostało tylko wspomnienie. Miasta, gdzie nawet gruzów odnaleźć było niesposob, bo glina, z której robiono były domy, rozsypana się na proch. Były tam jeszcze tylko jakieś pagórki i rumowiska, porośnięte kukurydzą i pnąciami kaolianu.

I widziałem, jak na to potworne pustkowia przybywali zaczęli dawni mieszkańcy. Jak zbiegli się wśród zielonych chwastów białe stroje, rozległo się marudzenie zmęczonych dróg dzieci, jak zaczęły ożywać rumowiska. Skąd brano materiały budowlane — nie wiem. Ale faktem jest, że już w parę dni po ogłosze-

niu rozejmu również i miasta zaczęły się pokrywać nowymi zabudowaniami. Była to wprawdzie taka sama prozopora jak w zniszczonych wsiach — ale co najważniejsze — martwe dotąd miasta zatętniły znowu życiem.

Czy to zdziwiło mnie i zaskoczyło? Skądże. Dla każdego, kto pamięta Warszawę z pierwszego roku po wyzwoleniu — wszystko to było zrozumiałe. Tak samo bowiem jak w Warszawie, również i tu ludzie zakasali rękawy i zabrali się do leczenia ran, zadanych przez wojnę. Z taką samą siłą, energią, zapałem i samozaparciem — z jakim potrafili niedawno jeszcze zmagać się z wrogiem.

Byłem w koreańskiej Warszawie — w Phenianie. Widziałem, jak żołnierze, młodzież, dzieci szkolne, starcy — każdy kto tylko podziwiał mógł łopate czy kilof — brali się do uprzątnięcia rumowisk. Ze śpiewem, z transparentami, z muzyką, zupełnie jak u nas. Jeszcze w czasie



Przed wszystkim odbudowywać się cegielnię. Dzięki pomocy państw demokracji ludowej zastosowano nowoczesne maszyny w produkcji.

wojny architektury koreańscy opracowali szczegółowy plan odbudowy i rozbudowy zniszczonej stolicy. Dziś nadchodzi pora realizacji tego planu. A wiecie, jaka będzie jedna z pierwszych budowli, które oddane zostaną już wkrótce do użytku? Wielki teatr na górze Maranbon. Na tej samej górze, w której

wnętrze krył się i grał w okresie wojny teatr podziemny.

Będzie powieść

Widziałem odbudowany w rekordowym czasie wielki kombinat włókienniczy w Phenianie, widziałem nad rzeką Jalu jedną z najpotężniejszych elektrowni w całej Azji. Elektrownia ta ruszyła znowu na pełnych obrotach dostarczając prądu odradzającemu się przemysłowi. Widziałem, jak brygady robotników wykopywały z ziemi przechowywane tam w obawie przed nalożeniem najcięższych maszyn i urządzeń. Miałem mosty i tunele, odbudowane i oddane do użytku w niezwykle szybkim czasie. Wszystko to świadczy wyraźnie o tym, co może zdziałać wielka siła tkwiąca w wolnym, budującym dla siebie pokojową przyszłość, narodzie.

Kiedy teraz patrzę wstecz na te jedenaście miesięcy spędzone w Korei — aż mi się w głowie kręci na myśl, jak tu teraz to wszystko napisać, przekazać czytelnikowi.

Ilość materiału jest ogromna. Sama choćby praca szpitala polskiego nad Rzeką Polską — Paran — Ganem, gdzie byłem przez kilka miesięcy magazynierem, same spotkania i rozmowy z żołnierzami Armii Ludowej — od prostych żołnierzy aż po Kim Ir-sena, dalej przeżycia w obozach jenieckich i bezpośrednie zetknięcie się z pracą neutralnych komisji repatriacyjnych, wreszcie odbudowa Korei — to są wszystkie tematy, które muszę sobie raz jeszcze przemyśleć i rozważyć, nim siadę do pisania. Na razie — będzie tom reportażu ilustrowanych zdjęciami, których przywiozłem całą furę. W drugim rzucie myślę o powieści.

Ale przede wszystkim trzeba odpocząć — kończy Andrzej Braun. Dwadzieścia tysięcy kilometrów przebytych w nie zawsze najłatwiejszych warunkach — czuje się bądź co bądź w kościach...

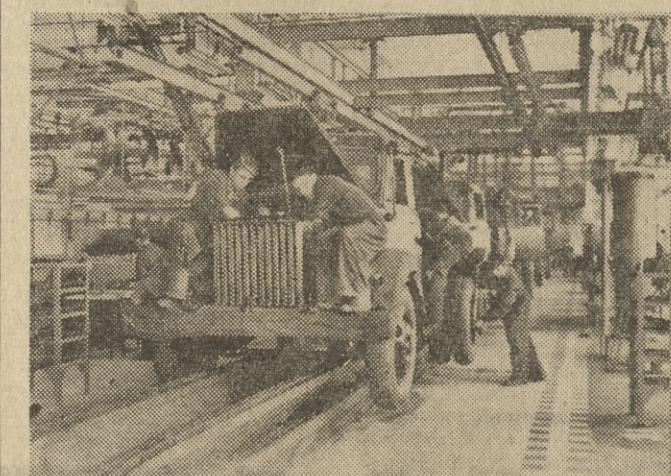
Rozmawiał:
A. W. WYSOCKI

Lublin, w kwietniu

Po raz pierwszy znalazłem się w tym mieście wraz z naszym wojskiem, niezapomnianego lata 1944, kiedy to Lublin nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie zrobił oszałamiającą karierę jako — wprawdzie zastępcza — ale bądź co bądź — stolica Polski. Nieopisany ruch, bieganie się na ogromne napięcie pierwszych wysiłków organizacyjnych — wszystko to miało za tło stare, zabytkowe, lecz bardzo zaniedbane budowle Krakowskiego Przedmieścia, Lubartowskiej, czy 3 Maja.

Wielka fala, jak gwałtownie się podniosła — tak i nagle opadła. W marcu 1945 roku Lublin uczynił na mnie wrażenie zwykłego prowincjonalnego partykularza, sennego znacznie bardziej niż stary Kraków, no i w dodatku pozbawionego podwawelskiego dostojenstwa...

Pod osiemnastowieczną ryciną Orłowskiego, przedstawiającą Lubelski Plac Królewski i Krakowskie Przedmieście — widnieją zjadliwy podpis: „Lublin — miasto do czyszczenia — błotem brukowane...”



Dumą Lublina jest FSC — Fabryka Samochodów Ciężarowych im. Bolesława Bieruta. Fabryka została zbudowana w oparciu o dokumentację i dostawy maszyn ze Związku Radzieckiego. Ogromne zakłady nadal są rozbudowywane. Gospodarka narodowa potrzebuje bowiem coraz więcej pojazdów mechanicznych.

Dopiero po dwóch stuleciach można było pomyśleć o zerwaniu z tym małym zaszczepionym mianem, przed miastem otworzyła się nowa, wielka perspektywa.

— Nadamy wielkomięską treść naszemu Lublinowi — miastu Bieruta i Nowotki! Dziesiątki świeżych, czerwono-białych transparentów, flag i godeł miasta wiszą wzdłuż pryncypalnych i bocznych ulic. Sprawa, rzecz prosta, nie kończy się na transparentach. Dosiadają całe Centrum i Stare Miasto pokryte są rusztowaniami. Jest to jak gdyby gruntowne odświeżenie bardzo wyszarzałego i zaplamionego ubrania. Naturalnie, poza nowym, pieczołowicie zrekonstruowanym według dawnych szkiców wyglądem zewnętrznym, gmachy Lublina uzyskują na wskroś nowoczesne wyposażenie wnętrz, urządzenia, jakich nie powstydziłyby się żadna metropolia. A równocześnie idą pełną parą prace przy rozbudowie dzielnicowych osiedli mieszkaniowych w Bronowicach, Tatarach, na

Kalinowszczyźnie (przy Fabryce Samochodów Ciężarowych).

Godnie zaprezentuje się miasto już latem bieżącego roku, jako gospodarz wielkich centralnych uroczystości, poświęconych X-leciu Polski Ludowej!

30 milionów złotych — to pierwsza suma, przeznaczona na rekonstrukcję Lublina. Środki finansowe i materialne idą w parze z walną pomocą, okazaną Lublinowi przez liczną kadrę budowniczych — fachowców z całej Polski. Pospieszili z odsieczą przede wszystkim twórcy warszawskiej Starówki — wydelegował ich tu Komitet do Spraw Architektury i Urbanistyki. Im to przypada w udziale rola przywracania świetności niezliczonym lubelskim klejnotom architektonicznym, zagubionym dotychczas w gęstwie parkanów, czynszówek, przeżartym grzybem i wilgocią. Warto odtworzyć je w pełnym blasku! Bo nawet niewprawne oko potrafi dojrzeć dziś w szpetnie poobtłukiwanych attykach i pilastrach Trybunału czy pięciokiennej magnackiej kamienicy Sobieskich — odrębny, niepowtarzalny styl i wyraz. Te budowle, podobnie jak i inne zabytkowe kamienice w Rynku, bramy Krakowska i Grodzka, wespół jeszcze z klasycznymi pałacami Krakowskiego Przedmieścia i dzisiejszego placu Stalina — stanowią widomą tradycję miasta, określają jego charakter i „klimat”.

Dziś poddaje się je wszystkim „kuracji” odmłodzenia. „Salon Lublina” będzie mieć kształt bardzo wydłużonego prostokąta, który zązono już tutaj nazwać trasą W—Z. Po biegnie ona szpalarem latarni od Wzgórza Starego Zamku (dawniej więzienia, dziś wspólnie odrestaurowanego, zamienionego na dom kultury), poprzez Nową Groblę i wiadukt do staromiejskich uliczek, następnie — Krakowskim Przedmieściem do krańca alei Racławickich. Na błoniach, otaczających miasto, powstanie wielki park kultury z rozmaitymi urządzeniami rozrywkowo-sportowymi.

Nawet swoim „Mariensztatem” (w kieszonkowym formacie) pochlubi się Lublin — a jakże!

Taki wygląd uzyska po przebudowie Podzamcze wraz z przyległymi zaułkami, gdzie pracują już grupy konserwatorów.

W dniach dziesięciolecia otwarta zostanie w okolicach zamku ogólnokrajowa wystawa rolnicza z kilku dziesiątkami pawilonów, wzorowymi ośrodkami uprawy, hodowli, stacjami aklimatyzacji itp. Już w tej chwili trwa tam szeroko zakrojone roboty przy odwadnianiu, uzbrojeniu terenu, doprowadza się sieć energetyczną.

Wreszcie — wspomnieć trzeba o zaprojektowanym monumentalnym pomniku X-lecia, który stanie — w odpowiedniej formie — u zbiegu alei Racławickich i Uniwersyteckiej.

Puls Lublina bije dziś śpiesznie, ludzie zaczynają patrzeć na rodzinne miasto zupełnie innymi oczyma. Tworzy się i szerzy bardzo pożyteczny w tym wypadku patriotyzm lokalny — udokumentowany konkretnymi faktami. Napływają tysiące ochotniczych zgłoszeń do pracy. Pochodzą one od pracowników umysłowych, studentów, nawet emerytów.

U progu wielkiej rocznicy Lublin dochodzi do czołówek naszych miast.

STEFAN RYMARZ

Solski w Poznaniu

rze”. Kropka. Rzadko kiedy o cenie gry aktorów poświęcano więcej słów, o ile ich w ogóle wymieniano. Solski, który podczas pobytu w Poznaniu zagrał X-dziesiąt ról, wymieniony został zaledwie kilka razy, w podobnie lapidarny sposób.

Oto próbki: w komedii „Fałszywe blaski” — „rolę głupkowatego i wiele pocieszne młodzieńca odegrał p. Sosnowski”; w operetce „Córka pani Agniet” — „p. Sosnowski odśpiewał bardzo dobrze ładną polkę — Klaruniu kocham szczerze”. W recenzji z „Kobiety o kamiennym sercu” powiedziano nawet tylko, przy podawaniu jej treści, że Solski wystąpił w roli samobójcy na tle odrzuconej miłości, a w wzmiance z innej podobnej szmiry pt. „W starym piecu diabli palą” podano jedynie, że w niej gra, bez wymienienia jaką rolę.

Nie odstąpiono od tej zasady nawet wtedy, kiedy nastąpiło

wydarzenie teatralne tej miary, co wystawienie po raz pierwszy w Poznaniu słynnej komedii obyczajowej Gogola „Rewizor”. Oto

pierwszym Chlestakowem, czyli fałszywym rewizorem, w dziejach Teatru Polskiego w Poznaniu był nie kto inny jak właśnie Solski!

Działo to się 10 lutego 1933 roku. — Cała recenzja nie obejmowała jednak więcej niż 11 wierszy, a o dwóch jej głównych bohaterach powiedziano:

... pan Skirmunt odegrał rolę gorodniczego wybornie a z taką prawdą, że zdawało się, że mamy przed sobą rzeczywistego gorodniczego, jakich bardzo, a bardzo wiele szeroka Rosja liczy. DOBRYM ZUPEŁNIE BYŁ PAN SOSNOWSKI W ROLI REWIZORA.

Dodajmy, że ani słowem nie wspomniano o treści komedii Gogola. Jest to więc chyba jedna z najkrótszych recenzji

z historii teatru światowego o dziele tej miary co „Rewizor”. Poświęcenie Solskiemu całego jednego zdania było przeto „wyróżnieniem”.

Smutne wyniki finansowe

Sytuacja teatru i aktorów stawała się coraz gorsza. 5 kwietnia odbyło się przedstawienie „Halki”, oczywiście z Solskim jako Jontkiem, „dla przyjęcia w pomoc tym, którzy z powodu zwinięcia na naszej scenie operetki opuszczają Poznań”. Dyrektor Podwyszyński „przesłał wypłacać gażę artyście” (jak mówilo sprawozdanie spółki teatralnej), wobec czego „przychodząc na pomoc na lodzie pozostawionym artyście, pozwolono im grać dalej w naszym teatrze, dając im nadto pomoc z biblioteki i garderoby”.

17 maja odbyło się ostatnie przedstawienie, po czym „towarzystwo dramatyczne” rzemiennym dyszlem udało się na prowincję, m. in. do Boku i do Torunia, by tam zarobić na chleb Solski zaś z powrotem pociągnął do Krakowa, gdzie miał ostatecznie zdobyć złote ostrogi wielkiego aktora.

Tak się zakończył pierwszy, lecz nie ostatni pobyt Solskiego w stolicy Wielkopolski. Lecz to jest już inna historia...

FLORIAN MIEDZIŃSKI

1) Prof. dr Karol Estreicher, „Troski i kłopoty Mistrza przed pół wiekiem” („Gazeta Krakowska” z 20 III 1954).

2) „trojak” = 10 fenigów.

3) Halina Kowalenko, „Społeczna organizacja funduszy i budowy gmachu Teatru Polskiego w Poznaniu w latach 1871 do 1890.” („Kronika m. Poznania” 4/1950).

4) „Tygodnik Katolicki”, rocznik 1872.

WIADOMOŚCI MIEJSCOWE I POTOCZE

POZNAŃ, 26 lutego.

— * Teatr polski. Jutro na benefis p. I. Sosnowskiego opera Bazina: Podróż do Chin. Operetkę tę wystawiono po raz pierwszy w sobotę a dziś tyle tylko o niej nadmieniamy, że jest ona perla pomiędzy operetkami. I muzyka bowiem ładna i libretto zabawne i zupełnie przyzwoite. Tak, że nie raz ani jedna sytuacja ani też dowcipem niesmacznym. Wykonana była dobrze, mianowicie wszelkie pochwały należały p. Sosnowskiemu i p. Schürer. Spodziewać się zatem należy, że publiczność jutro licznie się zbierze na przedstawienie i tem samem okaże życzliwość beneficjentowi, na którą ten bezwarunkowo i pracą i talentem zasługuje.

W czwartek komedia Aleksandra hr. Fredry: Zemsta

W niej drugi występ p. M. Zbońskiego.

Oto notatka „Dziennika Poznańskiego” o benefisie Solskiego. Teatr znajdował się wówczas w fatalnej sytuacji finansowej. Benefis miał ratować kieszenie aktorów, które przeważnie były puste. Niestety, nie znamy wyników kasowych przedstawienia opery Basina „Podróż do Chin”. Musiały być kiepskie, skoro w niedługim czasie „towarzystwo dramatyczne” ruszyło w obłąd pomniejszych miasteczek.

Pierwszy poznański „Rewizor”

Recenzji nie zamieszczano z każdej premiery, a jeśli je dawano, to w stylu prawdziwie telegraficznym. Oto recenzja z inauguracyjnego przedstawienia „Złotego cielca” mówiła krótko: „Panowie Jankowski i Sosnowski odegrali role dob-

**LÓDZ PODWODNA W NAJNOWOCZESNIEJSZYM WYDA-
NIU** będzie pędzona silnikiem
atomowym. Kiedys polski kon-
struktor Drzewiecki rozpoczął
od napędu... nożnego za pomocą
pedałów rowerowych i taką łódź
podwodną demonstrował w Car-
skim Siole. Później dorobiono do
niej silnik Diesla, akumulatory
oraz silnik elektryczny dla na-
pędu podwodnego. Obecnie be-
dzie można w łodzi zainstalować
niewielki stos atomowy, dostar-
czający ciepła, które zamienia
woda w parę, a ta pędzi tur-
binę. Sios może służyć bardzo
dużo bez uzupełniania. Toteż
promień działania takiej łodzi
będzie praktycznie nieograniczony.

**CZY GROZI NOWY WYBUCH
KRAKATAU?** W okolicach wysp
indonezyjskich Jawy i Sumatry
rozciąga się najbardziej aktywny
wulkaniczny teren na powierzchni
ni kuli ziemskiej. 46 czynnych
wulkanów nęka biedną ludność,
dopełniając jej nieszczęść, gdyż
jest ona ciemniejsza ekonomicznie
przez kolonizatorów. Słynny
Krakatau (wyspa-wulkan), który
w roku 1883 zniszczył 300 wsi i
pochłonął 37 tysięcy ofiar, zaczął
w jesieni ubiegłego roku znów
grzmieć i dymić. Obecnie nade-
szła wiadomość, że na Jawie za-
czął się niepokój wulkan Me-
rapi; wyrzucił lawę, dym i pio-
lenie. Zanożowano około 100
ofiar w rannych i zabitych. Ty-
siące ludzi opuściło swe zagro-
żone domostwa.

GINSENG, uważany przez lu-
dzi Dalekiego Wschodu za cza-
rodielski lek na wszystkie cho-
roby, doczekał się naukowych ba-
dań ze strony botaników i leka-
rzy radzieckich. Roślina, której
korzeń posiada owe niezwykle
własności, rośnie tylko w tajdze
syberyjskiej. Obecnie instytuty
radzieckie prowadzą jej planta-
cję w cieplarniach, uzyskując
szybszy wzrost i możliwość prze-
prowadzania szerszych badań.
Korzeń zawiera rzeczywiście
pewne cenne lecznicze substan-
cje o tonicznych i stymulacy-
nych (pobudzających organizm)
własnościach. Na własności le-
cznicze korzenia ginseng zwrócił
pierwszy uwagę rosyjski uczone
i badacz Włodzimierz Arseniew.

PODRÓŻ na Księżyc została
zademonstrowana, co prawda
tylko na filmie. Krótkometra-
żówkę wyprodukowano w ZSRR.

WENECA ZNIKA ZWOLNA
w wodach morza. Teren miasta,
dołów, kanałów i gondolierów co
dziesięć lat obniża się o 2,5 cm.
Już od kilku lat, każdej wiosny
plac św. Marka jest zalany wodą
przypływającą. Wspaniałe marmu-
rowe płyty placu dziś wznoszą
się zaledwie na 38 cm ponad po-
ziom wody. Za lat piętnaście
zrównają się z morzem. Techni-
ka jest, jak dotąd, bezsilna wo-
bec tego zjawiska natury.

To był pech —nie tylko w znaczeniu dosłownym

Zakopane, w kwietniu
Jeśli ktoś miał nieszczęście
(dlaczego nieszczęście — o
tym później) gościć w ostat-
nim okresie w Zakopanem, nie
mógł nie zetknąć się tam z e-
kipa Polskiego Filmu. Nie jest
ich tam wielu, około 50 osób,
ale z właściwym sobie wdzie-
kiem potrafili zawożować taką
wieżę Babel, jaką jest Zakopa-
ne.

Wyobraźcie sobie np. stadi-
on pod Krokwią, na którym
około 15 tysięcy ludzi śledzi
konkurs skoków, w które ob-
fitowała w sezonie wiosennym
narciarska stolica Polski.

Prosimy o entuzjizm...

Skoki są w ogóle pasjonują-
cą konkurencją, a tu co chwila
słychać przez megafony:
„Prosimy widzów o głośniejszy
entuzjizm, bo to potrzeb-
ne jest ekipie filmowej”. Al-
bo w momencie, gdy skacze
Wieczorek:

— Proszę teraz nie patrzeć
na skocznię, tylko w odwrot-
nym kierunku, bo filmowcom
potrzebna jest taka scena!

W ogóle wesoło było przez ca-
ły czas zawodów.
Kazano ludziom milczeć
przez kilka minut jak makiem
zasiał, to znów wybuchała po-
tężna fala entuzjizmu. (Entu-
zjizm był podobno potrzebny
jako ilustracja do sceny, w któ-
rej jakiś Polak znalazł się na
zawodach międzynarodowych
w pierwszej... dwudziestce.)

Czy należy się więc dziwić,
że w takim stanie rzeczy o e-
kipie filmowej mówi całe Zako-
pane? Niechby spróbowali

nie mówić. Filmowcy przypo-
mną im zaraz o sobie, zaje-
dając przed któryś z domów
FWP z zaproszeniem dla wcz-
sowiczów do współudziału w
roli statystów przy nakręca-
niu filmu. Przyznać trzeba, że
znajdują zawsze chętnych, co
kierownik produkcji podkre-
śla z dużym rozróżnieniem.

W taki sposób przebiega re-
alizacja nowego filmu polskie-
go pt. „Pech”, według scenariu
saa Domaniewskiego a reżyse-
rii Zbigniewa Kuźmińskiego.

Właściwie należałoby powie-
dzieć przebiegała. Ostatnie bo-
witem dwa tygodnie w Zako-
panem to na przemian śnieg,
deszcz a słońca jak na lekar-
stwo. Narciarze jednak nie da-
ją za wygrane. Znajdują śnieg
jeszcze na Kasprowym, Su-
chym Żlebie i w niektórych do-
linach. A poza tym każdego
dnia oglądają komunikaty me-
teorologiczne. Nic się jednak
z nich nie dowiedzą. Tegorocz-
na pogoda w górach mogłaby
doprowadzić do skrajnego nerwo-
wego wyczerpania światowej
kongres pracowników instytu-
tów meteorologicznych.

Wszyscy jednak zgodnie
twierdzą, że na święta pogoda
będzie murowana. Wróćmy je-
dnak do filmu.

Tytuł „Mści się”...

Tytuł filmu zawisł groźną
chmurą nad przebiegiem rea-
lizacji. No, bo zważywszy: po go-
rąckich przygotowaniach
ekipa przyjeżdża w marcu do
Zakopanego by zacząć zdję-
cia, a tu silny hałmniak zrywa
cały śnieg z dolin i miasta.
Chciałoby się przecież puszy-
stego śniegu malowniczo spo-

nawet poważne role w filmie.
Np. Andrzej Krzeptowski (ten
z Pięciu Stawów), wystąpi, w
roli ratownika Byrcyna.

Z aktorów zobaczymy w fil-
mie m. in. J. Zardeckiego z
Warszawy i Urszulę Modrzyń-
ską, których ujrzymy niedłu-
go w uprzednio już nakręco-
nym, nowym filmie polskim
pt. „Niedaleko od Warszawy”.

W filmie wystąpi również
kilku członków naszej kadry
narodowej, co miłośnikom
nart dostarczy wiele emocji.

„Pechowcy” posiedzą w Zako-
panem jeszcze pewien czas,
po czym przeniosą się do Ło-
dzi lub Wrocławia dla dokoń-
czenia zdjęć atelierowych.
Część zdjęć zimowych będą
musieli prawdopodobnie doko-
ńczyć w przyszłym roku. To
odwlekanie oczywiście mo-
ment wypuszczenia filmu, cze-
go im ani sobie nie życzymy.

Z. J. KOZŁOWICZ

Wielkopolskie echa kościuszkowskiej insurekcji

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ce jarzmo margrabi branden-
burskiego. Wolnymi raz być
się odważcie...”

W imię braterstwa ludów
walczących z uciskiem zwraca-
no się więc nie tylko do re-
wolucyjnej Francji, ale także
do uciskanego przez absolut-
nego monarchę ludu pruskie-
go.

REAKCJA „DOBRY WŁAŚCI- CIELI”

Powstanie w Wielkopolsce
powoli wygasło. Nie chciano
i tu wprowadzić w życie re-
form zapowiadanych przez
uniwersał połaniecki. Saboto-
wano jego postanowienia, nie
chciano poruszyć do walki
szerokich mas chłopskich. Wła-
dze pruskie starały się wyko-
rzystać tę sytuację. Ich zlamie-
m było powstrzymanie
chłopów od udziału w powsta-
niu. Starali się w swych ob-
wieszczeniach wykazać, że o-
biektom uniwersału połaniec-
kiego nie będą przez szlachtę
realizowane. Wyraźnie mówi
o tym obwieszczenie z 6 wrze-
śnia 1794 r.

„...Miał Kościuszkowski ogło-
sić wolność i sprawiedliwość
dla wszystkich włościan i
zmniejszyć robociznę w po-
łowie... Nigdy na to nie przy-
staną dobrzy właściciele...”

36 000 głązów w 10 751 skrzyniach

wyladowano w 1926 roku w no-
wojorskim porcie. Cóż to za
niezwykły ładunek wyladował
na amerykańskiej ziemi?

Znany „król prasy”, multi-
milioner i snob nad snoby,



Hearst, właściciel wielkiego fa-
szystowskiego koncernu wydaw-
niczego — kupił od rządu hisz-
pańskiego stary romański kla-
sзатор cystersów. Odrzucił tę
budowlę rozebrano i przewie-
ziono z półwyspu Iberyjskiego
do Ameryki. Hiszpania pozby-

ła się za ileś tam dolarów cen-
nego zabytku raz na zawsze.

„Klasztor w skrzyniach” nie
prędko doczekał się rekonstruk-
cji. W 1951 roku, a więc daw-
no już po śmierci rekinu pra-

sowego, znalazła ta wspaniała
budowla właściciela. Jest nim
zarząd słynnego kąpieliska
Miami na Florydzie, który kla-
sзатор „rekonstruował”.

Król hiszpański Alfons VII,
którego statua znajdowała się
wśród architektonicznych ele-
mentów pięknego klasztoru
(rys. 2) nie mógł śnić za ży-
cia, że ta budowla z 1142 roku
(kiedy jeszcze w Europie nie
wiedzano o istnieniu Amery-



ki) znajdzie się wśród nowo-
czesnych, często kiczowatych
hotelu i willi luksusowego ką-
pieliska, gwarne w czasie
konkursów piękności gwiazd
filmowych. W dodatku tury-
stom zwiedzającym ten zaby-
tek opowiada się, że jest to
„staroamerykański klasztor z
czasów konkwistadorów”.

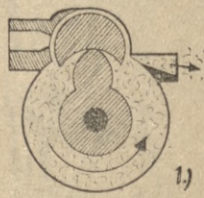
Królestwo Hiszpanii zaczęło
od wyprzedzania zabytków. Fran-
co kontynuuje wyprzedzać: w
ręce Amerykanów przechodzą
z wolna całe połacie urodzajnej
ziemi pod poligony, lotniska i
obozy wojskowe, na których
powiewa sztandar US Army.

Nowa konstrukcja silnika Czyżby rewolucja techniczna przemysłu samochodowego

Pewna francuska fabryka
ma niebawem wypuścić na
rynek samochody zaopatrzone
w nowego rodzaju silniki tur-
binowe. W płaskim cylindrze
kształtu jakby bębna będzie
obracać się około osi cylindra
rodzaj tłoka-łopatki. Synchroni-
cznie z nią w specjalnym
wybruszeniu cylindra obraca
się wentyl kształtu półkuli, za-
mknijący wlot gazu i od-
cinający go od komunikacji
z wylotem, który jest stale
otwarty.

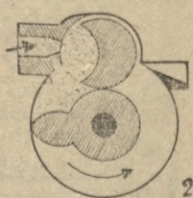
Cykl pracy silnika przedsta-
wia następująco:

1. W górnym położeniu łopatki
półkuli zamyka wlot gazu
sprężonego. Łopatka wykonała



pełny obrót pod naciskiem gazu
sprężonego, który w komorze
roboczej (wewnątrz bębna) jest
teraz rozprężony i uchodzi przez
otwarty wylot.

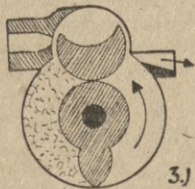
2. Obrót łopatki wyciska gaz
niskiego ciśnienia na zewnątrz.
Równocześnie poza łopatką pół-



księżyc otworzył już wlot gazu
wysokiego ciśnienia, który naci-
ska na łopatkę w kierunku
strzałki.

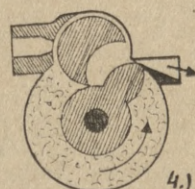
3. W ten sposób prężność gazu
wysokiego ciśnienia przekazuje

swą moc łopatce względnie wa-
łowi, na którym ta jest osadzo-
na. Gdy łopatka znajdzie się w



położeniu dolnym, półkule zamy-
knął już wlot, a gaz dalej roz-
pręża się w komorze B.

4. Koniec łopatki zbliża się do
położenia górnego i otwiera wy-
lot, co powoduje wydech spalin



na zewnątrz, po czym rozpoczy-
na się nowy cykl od 1—4.

Silnik ten odznacza się nie-
słychaną prostotą budowy,
brakiem sprężyn i wentyli o-
raz skomplikowanych mecha-
nizmów. Może być naturalnie
pędzony sprężonym powie-
trzem, parą wysokiego ciśnie-
nia, wreszcie paliwem płyn-
nym. W tym wypadku z oso-
bną komorą, gdzie wtryskuje
się sprężoną mieszaninę pali-
wa wraz z powietrzem, wdzie-
rają się przez wlot gazy spali-
nowe.

Automobilści oczekują z za-
interesowaniem wyników prób,
gdyż w razie korzystnego
wyniku nastąpić może po pro-
stu rewolucja w świecie silni-
ków samochodowych. Należy
zaznaczyć, że tego rodzaju
turbo-silnik, otrzymawszy z
wału napęd, może również
pracować jako pompa ssąco-
tłocząca.

Ekipa realizatorska. „Pecha”
przy pracy. Na pierwszym pla-
nie reżyser Zbigniew Kuźmiński

czywającego na drzewach i
mieniących się płatków w po-
świacie księżyca, a tymcza-
sem...

Ba, żeby to wszystko, ale gó-
rale od 20 lat nie pamiętają ta-
kiej ubogiej zimy w opady i
słońce. I tej właśnie zimy mu-
siano akurat nakręcać „Pecha”.

Nie na tym jednak koniec.
Operatorem filmu jest Bogu-
sław Lambach. Chcąc nakrę-
cić efektowne zdjęcia zjazdu
naszych kadrowiczów z Ka-
sprowego, kazał przywiązać się
do toboganu (szerokie, niskie
sanie ratownicze) i holowany
przez Tadeusza Giewontu, ra-
townika z PT, ruszył w dół z
szybkością, na jaką pozwala
poczuwa góra. Chciał pech
(przez małe p), że tobogan wy-
rzucono na muldzie i sympa-
tyczny operator przejechał kil-
ka metrów na własnym brzuch-
ku. Dla czytających to jest
bardzo wesołe ale dla Lamba-
cha nie miało to dowcipu,
choć skończyło się „tylko” na
lekim poturbowaniu i rozcią-
ciu łuku brwiowego. W każ-
dym razie Lambach stał się
bohaterem dnia, bo wieść o wy-
padku rozeszła się daleko po
halach i dolinach.

Taternicy pomagają

Jeśli mimo złego fatum fil-
mowcy wychodzą jeszcze obron-
ą ręką z walki z pogodą i gó-
rami, zawdzięczać to należy o-
fiarności i doświadczeniu lu-
dzi współpracujących w fil-
mie. W ekipie poważną więk-
szość stanowią ludzie, którzy
brali już udział przy nakręca-
niu „Czarnego żlebu”, a więc
posiadający już praktykę w
zdjęciach górskich.

Kto gra?

Poza tym filmowcy korzy-
stają z pomocy doświadczony-
ch taterników i członków
„Pogotowia tatrzańskiego”.
Niekiedy z nich odtwarzają

Radzimy sobie wzajemnie

Kochana Pani Julio!

„Starszy mój synek,
bardzo rozzagnięty
chłopak, ma już pięć
lat, córeczka — cztery.
Chciałabym dzieci do-
brze wychować, ale są
one bardzo żywe. Cza-
sem już nie mogę wy-
trzymać i uderzę je —
gdy mi w gospodarstwie
za bardzo psocą. Mam
wiele pracy w domu,
bo mąż, teść, teściowa
pracują. Cała domowa
robotą spoczywa na
mnie, więc mi głowa
pęka od pamiętania, co
mam każdego dnia zro-
bić. Kocham swoje
dzieci, jak każda mat-
ka, ale jak to zrobić,
żeby dobrze nimi kie-
rować?”

Jeszcze więcej napi-
sała p. Janina Przysa-
dzińska (Poznań, ulica
Rokossowskiego), lecz
poprzedniemu na-
tych kilku zdaniach.
Doskonała rada daje
wielki pedagog radziec-
ki — Makarenko. Piše
on, że trzeba dzieciom
stałe narzucać jakieś
zajęcie, a nawet da-
wać codziennie obo-
wiązki — dzieci muszą
pracować! Proszę
nie myśleć, pani Jani-
no, że Makarenko jest
zwolennikiem prac fi-
zycznych nieletnich
chłopców. Praca
dziecka to przede wszy-
stkim: składanie swo-
ich zabawek, klocków,
samodzielne ubieranie
się, rozbieranie i my-
cie, składanie przed
spaniem ubranka, czy-
szczenie bucików itp.
Można również użyć
swoich pociech do ba-
rzo konkretnych po-
mocy domowych i „po-

sylę”. Np. mój Ma-
reczek z wielkim po-
wodeniem chodził po
mleku i chlebie, a wie-
dział po gazecie i pa-
pierosy dla Hieronima.
Strasznie zresztą jest
z tego dumny. Z po-
czątku swej kariery
„nosiela mleka” za-
wsze, gdy Hieronim
wraczał do domu, chwa-
lił się: „Tatusiu! Ja
dzisiaj przyniosłem
mamusi mleko! Acha!”
Na szczęście mamy
bardzo blisko do spół-
dzielni, gdyż na dale-
kie wyprawy samo-
dzielne pięcioletniego
szkrabaka nie należy
posyłać.

Udział w obowiązkach
domowych traktuje
dziecko z początku ja-
ko zabawę. Później za-
bawa przerasta w o-
czucie obowiąz-
ku, co jest celem wy-
chowawczym. Jasne,
że nie tylko na daw-
niu praktycznych po-
leceń polega wycho-
wanie dziecka. Rodzi-
cie muszą czasami po-
dać pomysł zabawy, a
nawet (od czasu do
czasu) brać w niej u-
dział. Dziecko powin-
no bowiem być weso-
łe; ma prawo do ruch-
liwego, pogodnego, pe-
nego śmiechu i rado-
ści życia.

Gdy przyjrzy się, do-
drogie Czytelniczko, lu-
dziom dojrzałym, któ-
rzy są niesumienni,
kłamliwi, podli, nie-
uczciwi, niezwykle cze-
sto znajdziecie w ich
historii życia błędy
rodzicielskie. Matka lub
ojciec nie troszczyli się
o wychowanie syna
lub córki, nie wpajali

od pierwszych lat życia
poczucia uczciwości,
prawdomówności, obo-
wiązkowości; bili lub
przeciwnie — roz-
pieszczali. To o-
statnie zjawisko jest
przecież niezmiennie
częste. We własnym
dziecku trzeba widzieć
i odkrywać każdą ska-
zę charakteru. Kłam-
stwo, drobnostka na-
wet nieuczciwość, nie-
posłuszeństwo — musi
być dostrzeżone. Na
każdy grzeszek musi
matka lub ojciec rea-
gować — ale, kochana
p. Janino, nie wolno
własnych nerwów wy-
ładowywać na dziecku,
a więc być, nadsz-
wać innych kar, krzy-
ku itp. Kara fizyczna,
powiada Makarenko,
jest kapitulacją środ-
ków pedagogicznych.

Przyznam się, że Ma-
reczek dostał kilka ra-
zy łanie, ale zawsze do-
chodziłam po rozwa-
dze do wniosku, że da-
leko słuszniejszym by-
łoby zastosowanie in-
nych metod. Ostatnio
np. wymyśliłam nowy
sposób doradzania kary
— kładzenie dziecka
na... tapczan. Za brzyd-
ką psotę i nieposłu-
szeństwo (czasem się
to zdarza!) każe mu
spokojnym, ale suro-
wym i kategorycznym
tonem położyć się na
tapczanie twarzą do
ściany, w pokoju, gdzie
nikogo nie ma. Samot-
ność działa znakomi-
cie! Lepiej niż posta-
wienie w kącie. Leżąc
dziecko nie w owo w-
ypoczywa i przycho-
dzi do „równowagi u-
mysłu” niewiarygodnie

prędko. Pozwalam Ma-
reczkowi wstać, gdy
„uspokoi się” i grze-
cznie przeprosi za brzyd-
ki postępek.

Jest też inny sposób.
U nas w domu wisi —
ku wielkiej uciechy
dzieci — tablica współ-
zawodnictwa. Każdy
dobry postępek Ma-
reczka lub Jadwini
jest notowany czerw-
nym, zły — czarnym
kółkiem. Co tydzień,
w niedzielę odbywa
się „wypłata” nagrod
(przeważnie ciasteczki)
— za odpowiednią
ilość czerwonych kół-
łek. Mareczek, bardziej
niż kłapsów, boi się
czarnego kółka. Warto
wtedy wypróbować taką
metodę. Pobudza zdro-
wą ambicję dziecka.

To jedna sprawa,
droga Czytelniczko. Po-
za tym z listu wynika,
że właściwie tylko p.
Janina zajmując się
swoimi pociechami, a
to nie jest dobrze. Rod-
zice wspólnie winni
zajmować się wycho-
waniem dzieci. Mąż,
nawet b. zapracowany
musi znaleźć chwilę
czasu na rozmowę z
synkiem czy córeczką
lub wspólną naradę z
żoną na temat dalsze-
go „planu” zabiegów
pedagogicznych.”

Serdeczne pozdrowie-
nia! Proszę napisać,
jak poskutkował po-
mysł z „tapczanem” i
domowa „tablica współ-
zawodnictwa”, godną
polecenia dla dzieci
starszych, bardziej roz-
winiętych umysłowo.

JULIA SEWERYNA

Świąteczna satyryka

Rysowali:
HENRYK DERWICH
i FELIKS ŚMIEŁOWSKI



Nieporozumienie



Na wiosenną nutę

Józef Prutkowski

Biurokrata i wiosna

Biurokrata nigdy nie pamięta
O sprawach klienta.

Dłubie w nosie, dłubie w papierzykach,
Klient pięści zaciska.

Bardzo lubi w poczekalni zator
Biurokrata - „racjonalizator”.

Zawsze tłumek skombinuje chytrze,
Bez klientów bardzo mu się przykrzy.

Kwietniem pachnie pulchniejąca ziemia...
On nie pachnie. On się nie zmienia.

Już gorąco, słońce bzy osusza...
On: 36,6 Celsjusza.

Lekkie obłoki jak żagle kwitnia...
On podpisem znów coś uświetnia.

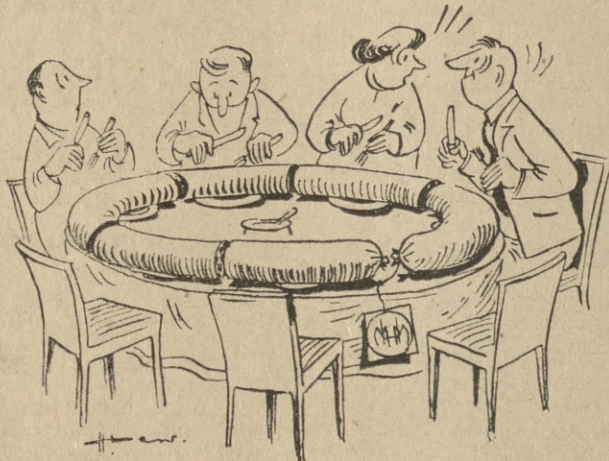
Sekretarka trzyma w rękach kwiaty.
Mówi wdzięcznie do biurokraty:

— Wiosna przyszła. Czy pan nie czuje?
— Niech poczeka. Teraz nie przyjmuję.

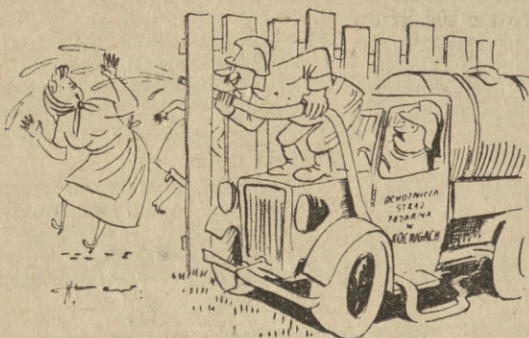


BOCIANY WRACAJĄ...

Zgodnie z uchwałą rządu i partii najlepszych ludzi kieruje się
do pracy na wsi.



— Jeśli chodzi o zaopatrzenie świąteczne, to plan ilościowy wykonałam w pełni.



— A przecież słyszałaś przez radio komunikat PIHM na drugi dzień świąt: „lokalne opady o charakterze przejściowym!”

SÓL i Pieprz

Twórczość niektórych naszych literatów
bardzo przypomina sól świąteczny: zbyt
dużo w niej malowanych sztucznie pisa-
nek.

Z hasel antyalkoholowych: — Lepsza je-
dna szynka na stole, niż dziesięć szynków
w mieście.

Poznański placek z kruszonką jest jak
dowcip: im cięszy, tym lepszy.

W pewnej redakcji postanowiono urządzić
dyngus. Ale naczelny redaktor zabronił uży-
wać do tego celu wody. Pracownicy redakcji
zaczęli więc obrzucać się własnymi arty-
kułami.

W niejednym domu na dwa dni przed
świątami: baby się pieką, a baby się pieką.
MIK.



— I to ma być nasze
wymarzone gniazdko,
które mi obiecywałeś
przed ślubem?

Skarpi Wiosenne

„Dziś o godz. 6 rano tempe-
ratura wynosiła minus dwa
stopnie. Przewidywana pogoda
na jutro...”

A jutro z głosiaka znów to
samo: nadal chłodno z możli-
wością opadów w postaci desz-
czu lub deszczu ze śniegiem.

Mimo to wiosna jest. Ujaw-
nia się na każdym kroku.
Wystarczy obejrzeć sobie witry-
ny sklepów tekstylnych; pełno w
nich wełnianych szalików, swe-
trów w najróżniejszych dese-
niach, ciepłej bielizny, towa-
rów, jakich nie można było się
doszukać od jesieni do ostat-
nich dni.

Wystarczy przejść się do par-
ków. Przez świeżo skopane, za-
grabione trawniki zdołano już
wydeptać („żeby było bliżej”) ścieżki.
Co prawda ogrodnicy
miejscy stawiają przed nimi
zasiłki z drutu kolczastego,
lecz mało one pomagają. „Ar-
mia deptaczy” rozbija je i dep-
ce dalej.

Równocześnie z wiosną za-
czyna się u nas miesiąc czy-
stości. Jest to spontaniczna ak-
cja, mająca na celu wytepienie
wszelkich objawów śmiecenia.
Z każdym rokiem akcja ta da-
je coraz lepsze wyniki. Jeszcze
w ub. roku wychodzący z kina
„Bałtyk” rzucali bilety na cho-
dnik. Obecnie bilety rzucą się
już tylko na pobliską skarpe
nad kolejowymi torami.

O wiosnie dowiadujemy się
też z okrzyków na boiskach
sportowych. „W kolano go”.

„bykiem w niego” — oto dowo-
dy, że sportowi chuligani zbū-
dzili się już ze zimowego snu.

Najwięcej mogą o wiosnie
powiedzieć kierowcy samocho-
dów. Jeżdżą teraz wolniej niż
w czas zimowych śnieżyc i roz-
topów. Wolniej dlatego, że na
ulice, zwłaszcza asfaltowane,
wyległy całe chmury chłopców,
podcinających baki. I nie zwa-
żają rozbawieni malcy na sa-
mochody, nie ich nie obchodzą,
grunt, że bak kręci się nie-
przerwanie.

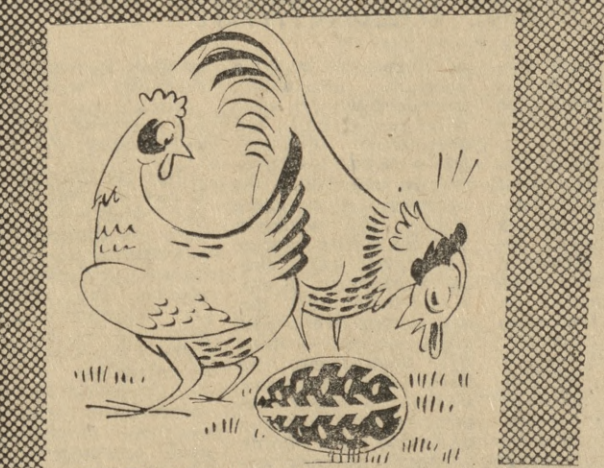
Wiosna pcha się drzwiami i
oknami. Wlazła też na przed-
stawienia operowe. Cichutko
mogłoby być na widowni, gdy-
by nie majowe cukierki. Roz-
wijanie ich z zielonego celofa-
nu powoduje
przyjemny
szmer, podobny
do bzykania pa-
sikoników. Stąd
uwerturę słyszy
się teraz bar-
dzo wiosennie,
majowo.

Tak oto ma-
my wiosnę w
kilku wyda-
niach — takich,
jakich nie chce-
my w przyszło-
ści widzieć!

T. H. N.



— TO NAJSPOKOJNIEJSZE MIEJSCE
W CAŁEJ GROMADZIE...



— CO TO ZA DZIWOŁAG?
— WEDŁUG OSTATNIEGO WZORU CePeLii.



— Niech by przynajmniej wycofali przystawie;
„siedzi jak zajęc pod miedzą...”

